

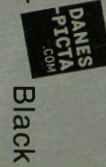
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

STEFAN ŻEROMSKI  
**POCZĄTEK  
ŚWIATA PRACY**

NAKLAD II



KRAKÓW :: NAKŁAD KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO  
DAWNIEJ KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAW. POLSK.



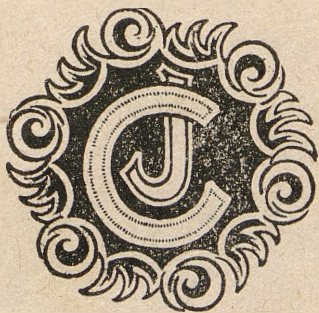
120

28/10/79

**STEFAN ŻEROMSKI**

**POCZĄTEK  
ŚWIATA PRACY**

**NAKLAD II**

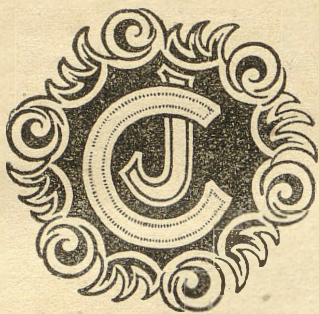


**KRAKÓW :: NAKŁAD KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO  
DAWNIEJ KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAW. POLSK.**

STEFAN ŻEROMSKI

# POCZĄTEK ŚWIATA PRACY

NAKLAD DRUGI.



KRAKÓW :: NAKŁAD KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO  
DAWNIEJ KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWN. POLSKIEJ



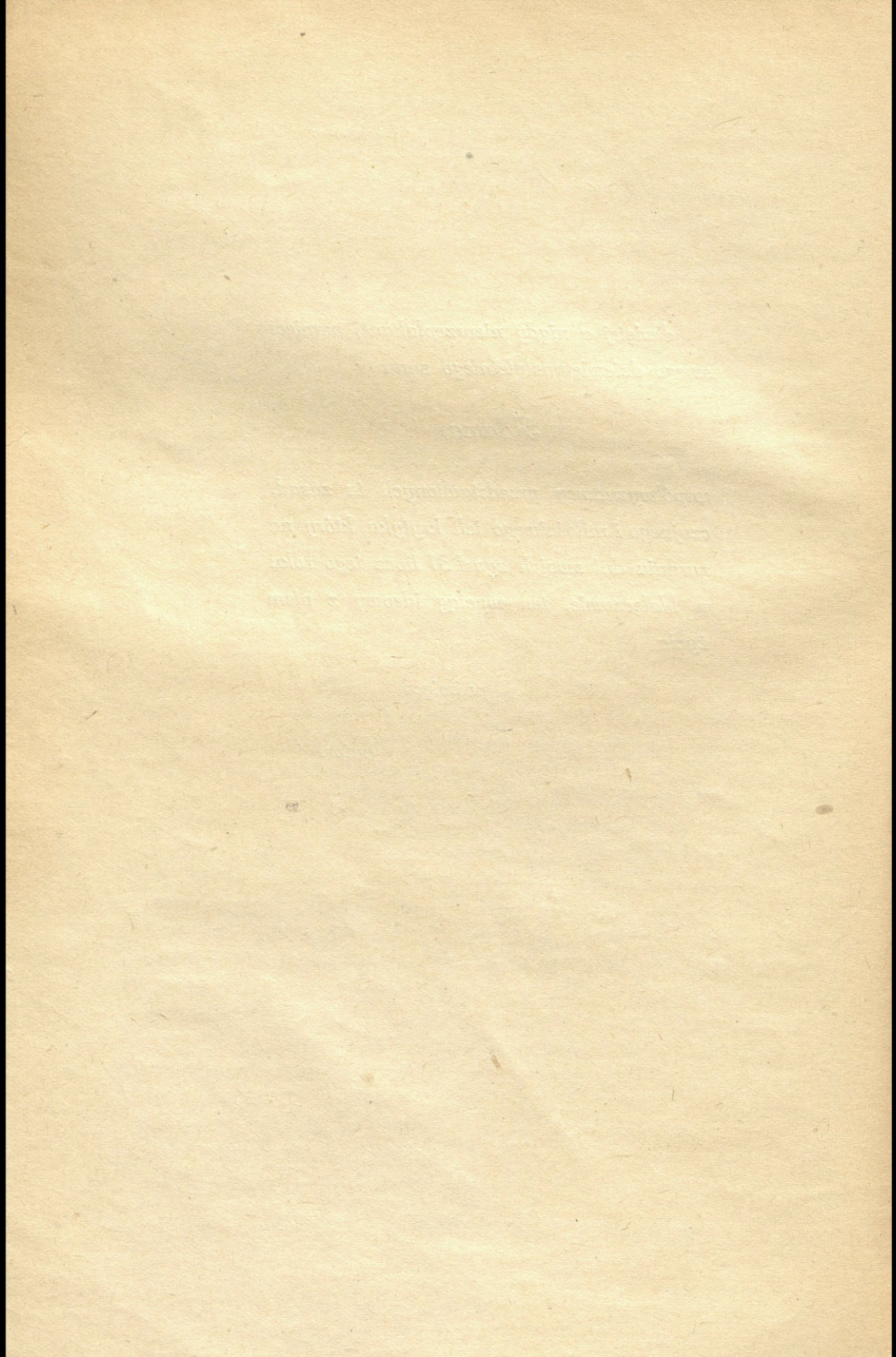
*Świętej a nigdy nieprzeplakanej pamięci  
swego dziewiętnastoletniego syna*

*Adama,*

*współwyznawcy przedstawionych tu zasad,  
czujnego i miłosiernego ich krytyka, który na  
zaraniu dni swoich zgasł 31 lipca tego roku  
w Nałęczowie, ten wyciąg ideowy z pism  
życia*

*poświęca*

*autor.*



Niedawny jest ten czas, kiedy Aleksander Trzeci, samowładca Wszech Rosyi, mawiał o niej z bezgraniczną pychą, iż nie jest to państwo, lecz „część świata“, Wykonawca w Warszawie jego postanowień, Józef Hurko, w rozmowie z arcybiskupem Popielem ośmielił się przezwąć nasz czarodziejski, wszechobejmujący język, tensam dziś, co w roku 1514, kiedy został pierwszy raz drukiem ujęty, — „językiem kucharek“: Niewiele upłynęło czasu, a oto rodzony syn tyrana Aleksandra Trzeciego ruszył w daleką sybirską drogę, jak tyłu z jego poddanych, których był w głupocie swej na odbycie tej drogi skazał, — i skonał pod kulami bezimiennych siepaczków, bez jawnego sądu i pisanego wyroku, jak tyłu z jego poddanych, których na śmierć niesprawiedliwym wydał wyrokiem, poznając w straszliwości męczarni, czem jest na ziemi istota wszelkiej tyranii. W białokamiennym Kremlu, siedlisku zamysłów Iwana Groźnego, w sklepionych izbach, obwieszonych ikonami, przed którymi bił czołem Borys Godunow i Aleksy Michajłowicz, przechadzają się i swobodnie, nieodwołalnie radzą Nahamkesy z Sobelsonami i Dzierżyńskimi nad linią granic, przynależnością, lub odłączeniem, w jedno carstwo przez wieki łączonych szczepów, oraz układem stosunków wewnętrznych Rosyi, którą Aleksander Trzeci swoją częścią świata nazywał.

Niedawny jest ten czas, kiedy Wilhelm drugi na swym zamku Malborskim, upojony bezgraniczną pychą i świadomością fizycznej potęgi, groził ostatnim słomianym strzechom zdeptanej sarmackiej ziemi i zuchwałem w zaciekłości słowem ostrzył teutoński miecz bezlitosnej na nie zagłady. Dwakroć sto tysięcy trupów poznańskich i śląskich naszych braci zasłało pola Francyi, Belgii, Rosyi, Włoch, Serbii, Bułgaryi, Rumunii, Turcyi i Palestyny, bijąc pod krzyżackim przymusem w święte, nie-

złomne i wiekuiestej godne czei wrota swobody — Verdun, — godząc w bezcenne piękno katedry Reims i w przecudne mury świętego Marka. Kiedy w obliczu oczywistości tej najcięższej z ofiar polskich na ołtarzu niemieckiego barbarzyństwa, w radzie miejskiej Poznania Dr. Karwowski postawił wniosek, ażeby dzieciom polskim dozwolono mówić pomiędzy sobą językiem ich rodziców w godzinach pozawykładowych szkoły, — nie tylko odtrącono ten wniosek, ale dodano z naciskiem, iż „niǳy tego nie będzie na tej ziemi“.

Niewiele upłynęło czasu, a oto nikczemny pyszałek i gadała, Wilhelm Drugi, żołnierz bez honoru, monarcha bez sumienia, który swój lud zdziesiątkował, storturował i zepchnął w przepaść hańby, uszedł z pośrodkła własnych wojsk, z ziemi swej i z granic swego państwa, a w jego zamkach, siedlisku zrabowanej słowianom potęgi, zbuntowany żołnierz rozkazuje. Cesarski jego orzeł zrzucony jest z wieży wysokiej, a nad tronem jego czerwony sztandar powiewa. Państwo, zlepione siłą, która ważyła się iść i głosić bezczelnie, iż idzie przed prawem, rozpada się w gruzy, a lud błaga na kolanach o współczucie zwycięzcy.

Niedawny jest ten czas, kiedy Franciszek Józef Pierwszy „wydobył miecz“ na małą Serbię, „albowiem wszystko przewidział“. Nie przewidział tego jednego, iż następca jego zostanie sam jeden wśród swych „ukochanych ludów“, błazeński firecyk, którego wyprą się nie tylko wszyscy wielojęzyczni poddani, lecz własni jego niemieccy rodacy. Morze wylanej ludzkiej krwi, powiew zarazy, głód, zniszczenie wszystkiego, cokolwiek w ciągu lat dźwignęła praca człowieka, — oto rezultat, jakiego nie przewidział był stary obłudnik i egoista, zamaskowany despota, którego „apostolskie“ rządy pozwalały wywieszać i wytepić pół Serbii, rzucić w grób pół Bośni, a połowę „Galicyi“ zastawić taką ilością szubienic, iż zaiste, stary oprawca Wilna, „Wieszatiel“, zakryłby z trwogi przed tym widokiem krwawemi dłońmi oblicze. Jeżeli kiedy rodzaj ludzki patrzył oczyma żywemi w oblicze Boga żywego, to stanie się to za tych dni. Prawica wiekuiestej wszechmocy i nieomyłnej sprawiedliwości, zepchnęła z krzesel potęgi kłamstwo cesarzów, a korony ich rzuciła pod stopy uciemieżonych. Jakgdyby na głos trąby archanioła runęły mury tyranii, które od wieku i, zdawało się, na wieki, zastawiły wolność na ziemi.

Porównywałem niegdyś, w jednej ze swych pisanin, dolę Polski do nieszczęścia brzozy żyjącej, której pień wygiął się w pałąk wskutek tego, iż jej koronę, nagiętą aż do ziemi, z gałęzmi, pędami i liśćmi przywaliła niezmierna, nieudźwigniona masa jałowej gliny. A oto teraz szczęśliwe oczy oglądają cudowny widok, jak ta nieśmiertelnie żywa korona, wyciągnawszy gałęzie, pręty i liście spod zeschniętej i spękanej nawały, uciekła w niebiosa i tam radośnie drży wszystkimi młodemi wtkami, a żywotwórcze soki jej pędzą ku górze szlaki naturalnemi w wyprostowanym, strzelistym pniu.

Prawdą oczywistą przed oczyma ludzkimi stało się, iż kłamali cesarze i rządy ich, mieniając się namaszczoneymi z góry, jedynie prawowitymi, przez czysty rozum wskazanymi regulatorami wśród zamętu pracy i nagromadzenia bogactw człowieczych. Ujrzeni wszyscy ludzie, że głupstwo i łotrostwo taίło się w istocie rządów monarchów w ciągu trwania tylu ludzkich pokoleń. Jeżeli kłamstwo i łotrostwo ukryte było w rdzeniu zasady rządów trójcesarskich, osnutych tyłą masą pomazań, symbolów i ozdób, zewsząd czerpanych, jeżeli niemal w mgnięniu żrenicy runęły dziesiątki tronów pomniejszych w Rzeszy niemieckiej i na zewnątrz niej, — istne kukły w kręgielni, waląc się od uderzenia jednej wszędzie potężnej, okrągłej kuli ludowego gniewu, — to samo przez się nasuwa się pytanie, czy takiemsamem kłamstwem i łotrostwem nie jest zasada wszelkiej władzy, jaką przybiera człowiek nad człowiekiem. Któż rozumowi czystemu, niespętanemu więzami wierzeń, wmówień, lub doktryn zaręczy, iż rządy dyktatorskie, republikańskie, mieszczkańskie, ludowe, socjalistyczne, rządy partyi zjednoczonych, albo partyi, wysuwających się na czoło społeczeństw, poprzez swe siostrzyce i rywalki, nie zawierają tejsamej w sobie zasady kłamstwa i łotrostwa?

Obserwacya podstawy i biegu życia ludzkiego w gromadach wskazuje na inne uprawnienia rządu człowieka nad człowiekiem. Kiedy wybucho epidemia szkarlatyny, plamistego tyfusu, ospy, cholery, dżumy, wówczas rządy nad ludźmi obejmuje lekarz. Dyktuje nieodwołalnie prawa, nakazuje i zakazuje, odrywa małe i chore dzieci od łona zrozpaczonych matek i zamyka je w niedostępnych szpitalnych więzieniach, obstawia domy strażą, przerywa możność komunikowania się ludzi z ludźmi, w pałacach milionerów, rządców świata i królów jednym ski-

nieniem, lub jednym podpisem sprawuje wszechwładne rządy Zlecenia jego akceptuje, — pod najbezwzględniejszą kontrolą, — zespół jego współtowarzyszów zawodu. Kiedy ludzie postanowią przebić tunel pod łańcuchem gór, ażeby w szybkim po- ciągu przebywać w kilkanaście minut do tego miejsca na dru- giej stronie łańcucha, dokąd dawniej trzeba było w najcięższym trudzie w ciągu paru dni wędrować, wówczas inżynier obej- muje władzę nad rzeszami pracowników. Ci muszą być mu bez- względnie posłuszni, albowiem patrzą zdumieni w niewiadomości swej, jak podkop, wszczęty z dwu stron górskiego ogromu, spotyka się w głębiach skalnych czeluści, nie chybiając swej drogi ani o milimetr. Skoro naród jakiś, — na przykład Czesi, — postanawia wznieść wielki teatr dla rozwoju sztuki narodowej, wówczas rozkazom architekta, którego plan uzyskał aprobatę, poddają się tłumy różnorodnych pracowników, wykonywując po- słusznie jego świadome zarządzenia w zakresie dźwigania mu- rów, wiązania dachów, kopuł i wież. Geolog, rozłupujący młot- kiem kamienie, które potraçała obręcz nędznego wozu kmiecia, albo chodaki robotnika, odkrywa w nich niespodzianie tajem- nicę, jemu tylko wiadomą istotę siły, i oto wydaje wskazówki milionerom, tropiącym skarby, inżynierom, potrzebującym za- robku i tłumom, idącym za skibą nędznego chleba. Oficer, trzy- mający rękę na zasadniczym motorze olbrzymiego pancernika i kierujący obrotami statku dookoła własnej jego osi, tańcem piekielnym nad bezdennością oceanu pod straszliwemi pociskami z niezmiernych luf wrogiego dreadnoughta, jest samowładcą tysiąca istnień ludzkich, które zależą od dobrego, albo złego ruchu jego dłoni. Marya Curie-Skłodowska podczas wykładu w sali paryskiej Sorbony, wywodząca na tablicy z równań ma- tematyki wyższej krzywą linię, a potwierdzającą tąsamą linię za pomocą fizycznego działania na świetliste, ruchome radium w szklanej cewce rozmaitemi potęgami siły elektrycznej, rządzi umysłami słuchaczy, na zasadzie posiadania odkrywczej swej wiedzy, bardziej wszechwładnie, niż monarcha i bardziej nieod- wołalnie, niż arcykapłan. Dom Edisona, pracującego w zaciszu nad środkiem wydobywania z głębi oceanu niemieckiej łodzi pod- wodnej na powierzchnię niemal wszechwładną siłą, mocą dzia- łania baterii elektrycznych okrętu na jej elektryczną siłę, — strzeżony jest przez wojsko, ażeby nikt nie zamącił myśli genial- nego odkrywcy, nie opóźnił, uszkodził, albo skradł jednego

promienia ze światła wynalazku. Uczeni, technicy, inżynierowie, chemicy, fizycy, lekarze, znawcy, specjaliści, działający jako odkrywcy, albo na podstawie wdrożenia nieomylnych wyników prawd znalezionych, sprawują rządy wciąż i wszędzie. Kiedy ci istotni rozkazodawcy, utrzymując życie społeczeństw na wyżynie kultury, czynią rząd, niejako, tajny, codzienny i pospolity, — rządy jawne w parlamentach i ciałach przedstawicielskich trzymają w ręku tak zwani politycy, reprezentanci stanów, stronnictw i partii. Drzwi do ciał prawodawczych otwiera nie gieniusz, wiedza, posiadanie całkowitej prawdy o rzeczy przez jej umiejętnie w każdej dziedzinie zbadanie, znajomość specjalności aż do podstawy, lecz tak zwany „klucz partyjny“. Najklasyczniejszym objawem tego stanu rzeczy było do niedawna Koło polskie w Wiedniu i niedawna Rada Stanu w Warszawie. Człowieka, pragnącego działać publicznie na arenie społecznej, pracować szeroko a skutecznie, zalecać musi nie jego istotne uzdolnienie, wiedza i osobiste zalety, lecz przynależność do jakiejś partii. Jednostka, nie należąca do narodowych demokratów, socjalnych demokratów, polskich socjalistów, ludowców, postępowych demokratów, krakowskich konserwatystów, albo do jednego z kilkudziesięciu maleńkich zgrupowań, raczej nazw, niż zgrupowań, zwanych „kanapami partyjnymi“ w Królestwie, — pozostaje bezsilnym zerem, zepchniętym do głębin wzgardzonego zawodu. Osobistość taka nie posiada prawa do patriotycznego działania na korzyść ojczyzny, do publicznego sądu i publicznego głosu. Nawijają się pod pióro dziesiątki imion ludzi mądrych, tęgich, pracowitych, ofiarnych, czystych, promotorów i strażników rzeczy publicznej, którzy za czasów najstraszniejszych dni Polski karmili ją chlebem swego trudu i poili życiodajnym mlekiem wiecznej nadziei, trzymali ogół na wyżynie, jako cywilizowaną społeczność, a którzy teraz, gdy wody niewoli odpływają, — w pokorze swej idą w zapomnienie. Na widowni publicznej grasują i harczą rozmaici „posłowie“, wybrani za czasów panoszenia się i działania „żelaznych“ austriackich pachołków żołądków, albo jakieś nikomu nieznanne koczodany partyjne, których pracy nikt nie widział i których zdolności nigdzie i w niczem się nie ujawniły. Po władzę nad narodem wyzwolonym z kajdan sięga nawet zwyczajna kanalia, którą rządy najezdnicze opłacały pieniędzmi, lub możliwością dorabiania się mocą poruczonego jej zakresu władzy. Główną masę tych am-

bitnych karyerowiczów stanowią rozmaici lawiranci, krętacze, ludzie bez stałej narodowej zasady, tak zwani „politycy“.

Ci wczoraj bili pokłony cesarzom, — akomodowali się publicznie rozmaitym Czerninom, — szli ręka w rękę z państwem cara, lub z państwami centralnemi, — sprzedawali bezczelnie Poznańskie, — posłusznie, cudzym toporem obrąbywać gotowi granice ojczyzny, trwonili grosz publiczny, składkowy, z pod serca ofiarnego do skarbnicy narodowej złożony, na drukowanie statystyk, poŃijających zabór pruski, — twierdzili w gazetach i pismach swych, iż prawdziwy patryjotyzm może być tylko dwudzielnicowy, a upominanie się o całość i miłowanie całości jest to moskalofilizm, — wielbili potęgę i zwycięstwo niemców, jako zwycięstwo idei polskiej, — trąbili, otrzymawszy po temu od najeźdźcy prawo, znękanym i strudzonym ludziom, na czteroletnie skazanym milczeniu, o rozmaitych „rozwiązaniach“ sprawy polskiej austryackich, niemieckich, czy innych, — denuncyowali i ścigali mocą obcych żołdaków tych nielicznych, którzy za zasadę Polski niepodległej, całej, zjednoczonej gotowi byli od początku oddać ostatnią kroplę krwi.

Dziś, gdy z użyczenia losu, dogmat, który wszelkiemi siłami zwalczali, jak słońce zajaśniał i wykonaniem się pełni, znowu cisami wyskakują na scenę i trzymają pierwsze skrzy-pce, — usiłując reprezentować w swych osobach nie tylko ideał, dotąd im obcy i godny doniedawna pozywania go przed oblicze zwierzchności austryackiej, ale nadto najwyższy ideał społeczny. Fama powszechna utrzymuje, że tak jest wszędzie na świecie. Wszędzie, jakoby, rządzą politycy, a „biało-rączka“, przedstawiciel czarnych rąk proletaryatu jeździ automobilem i pierwszą klasą kolei, zarabiając na dostatnie i wygodne życie jedynie temi właśnie fatygami. Otóż jest to złudzenie. Oddawna przeciwko „politykom“ i rozmaitym „reprezentantom“ sprawy ludowej podnosiły się z łona samego ludu gwałtowne protesty. Oddawna pracownicy rozmaitych zawodów poczęli łączyć się w związki, czyli syndykaty, przedewszystkiem dla zrzucenia ze swych ramion wszelakich wodzów i „szefów stronnictwa“. Oddawna przeciwko menterom socjalistycznym w parlamentach, różnym Scheidemanom, wybuchały gwałtowne bunty. Na tle tego ruchu przeciwparlamentarnego zarysował się nowy kierunek w usiłowaniach wyjarzmienia proletaryatu, zwany syndykalizmem. Zasady jego ujawniły się przedewszystkiem w ge-

nialnej książce George'a Sorcla p. t. *Réflexions sur la violence*, w książce Dufoura p. t. *Syndycalisme* i olbrzymiej literaturze agitacyjnej. Ta najbardziej nowoczesna, najsakrajniejsza i najprostsza metoda organizowania życia publicznego, która znalazła olbrzymi posłuch wśród proletariatu Francji, Anglii, Włoch, Hiszpanii, a oddziaływała bardzo wydatnie na tak zwanych socjalistów niezależnych w Niemczech, domaga się choć pobieżnego tutaj potrącenia i wykładu. Polega ona głównie na wytwarzaniu autonomicznego, niezależnego życia różnorodnych związków zawodowych, czysto robotniczych, które winny powoływać do życia główny instytut pracy.

Gdy dziecko przyjdzie na świat w robotniczym stadle, nim czas naturalny upłynie, musi położnica wstawać do roboty. Noworodka wykarmia smoczek z rozcieńczonym mlekiem, mniej lub więcej fałszowanym. Kto fałszuje to mleko i inne płyny odżywcze? Robotnik. W czym interesie to czyni? Czy w swoim? Nie. W interesie jakiegoś właściciela, przekupnia, dorobkiewicza. Skoro dziecko podrośnie i zamiast flaszki z mlekiem, smoczek cukierek, zabarwiony na czerwono, niebiesko, zielono, pomarańczowo, wysysa wraz z sacharyną rozmaite trujące chemikalia. Któż sfabrykował tę ohydłą truciznę? Robotnik dla zysku jakiegoś dorobkiewicza, przemysłowca, złodzieja. Gdy z dziecka młokos wyrośnie, idzie w niedzielę do jadalni, żeby się zabawić, spuścić korony, czy ruble, zapracowane w jakimś warsztacie, czy pracy, przy jakiejś robocie w ciągu tygodnia. Funduje sobie jakiś specjał, jakiś *ersatz*, namiastkę jakiejś potrawy, lub jakiegoś napoju. Robotnicy to przecie przyrządzają dla swych współbraci chleb z domieszkami trującymi, nie do strawienia przez ludzki żołądek, z końskim bobem, dzikimi kasztanami, lipową mąką i mnóstwem innych niedocieczonych składników, równie strawnych jak tamte. Oni to fabrykują kawę z krochmalu, cykoryę z żołądki, konfitury z glukozy, smażą ciastka na waselinie, robią miód z miękiszu kasztanów, likiery z odwaru jarzębiny, preparują masło z łoju, sery z tłuszczów i kredy, ocet zaprawiają siarką, soki „owocowe“ przyrządzają w ten sposób, że w nich niema ani jednej cząsteczki, ani kropli owocu. Robotnicy sporządzają i podają w restauracjach potrawy z mięsa zgniłego, zepsutego, albo z tuberkulozą, w zaprawach octowych z kwasem siarczanym, w sosach i marynatkach dyabelskich. Oni to na zlecenie pryncypałów wycierają

naczynie ścierkami brudnymi, lub bielizną stołową zużytą częstokroć przez chorych na otwartą gruźlicę lub ostry syfilis. Młodzi chłopcy, wchodzący w życie, czysta, niewinna i uczciwa rasa pracowników, która karmi i przyodziewa i zaopatruje świat, — krew z krwi i kość z kości robotniczej, — pełni wrodzonej szlachetności, czystego serca i ideału, jak każdy nowy zastęp młodzieży, wstępują do sklepów, zakładów, warsztatów, fabryczek i wielkich fabryk, szukając chleba i zarobku dla siebie i dla rodzin. Właściciele, pryncypałowie i kierownicy wsuwają im w rękę pracę, której wynik i owoc idzie częstokroć na szkodę i zatrucie współbraci. Jakże często zawodem młodego chłopca, fachem młodej dziewczyny jest oszustwo, popełniane stale na rodakach, krewnych, znajomych w interesie paskarza! Ci niewinni muszą czynić co im każą i tak, jak im każą, — dla kawałka chleba. Niszczenie zdrowia małych dzieci, trucie ludzi dorosłych, powolne zakażanie organizmów jest stałym zawodem wielu uczciwych pracowników. Nie złodziej bowiem i paskarz wykonywuje namiastki i oszwabki, lecz czyni to po największej części rękoma „swych ludzi“. Oni to, robotnicy, dla zubożenia swych chlebobawców, fałszowali dawniej sukna, plusze, aksamity, jedwab, robili sztuczne złoto, sztuczne brylanty, stiuki z drzewa, marmur z cegieł, brzozy z gipsu. Przekupnie materiałów najpierwszej potrzeby w sklepach i drogueryach, gdzie zamiast preparatów czystych, lecz droższych, daje się materiał wartości niskiej, lub żadnej, więc tani, nie sami oszukują swych klientów, lecz za pośrednictwem pracy i obsługi personalu. Przedsiębiorcy budowlani, konstruktorowie dróg żelaznych i dróg bitych, fabrykanci mebli, hurtownicy odzienia i obuwia „fabrycznego“, księgarze, wydawcy, nakładcy, właściciele domów bankowych, gdzie co do praktyk wewnętrznych panuje przeciw zasada profesjonalnego milczenia, za które pobiera się wynagrodzenie, — wszyscy ci mają na usługi legie pomocników. Ci wszyscy przedsiębiorcy, chlebobawcy, majsterkowie, dorobkiewiczze, „wychodzący na swoje“, uprawiali zawsze zamachy na zdrowie a nawet życie swej klienteli rękoma swych podwładnych, swej służby. Wszędzie, na całej linii ludzie uczciwi zapracowywali na kawałek chleba, czyniąc biernie, pół-świadomie, albo zupełnie świadomie z musu to dzieło niszczycielskie za dorobkiewiczów. Pod obuchem głodu solidaryzowali się z fałszerstwem, oszukańczą przebiegłością, sofistyką, łupiestwem,

czyniąc istne zamachy na życie i zdrowie ludzkie. Te procedery dowcipu ludzkiego przedwojenne podczas wojny rozrosły się do rozmiarów monstrualnych. Metody łotrostwa namiastkowego rozwijały się równoległe do cen towarów i materiałów ubywających. Nie sam paskarz ukrywał towary i wydobywał je w stosownej chwili, żeby łupić z ludzi ostatnią skórę. Ktoś mu w tem pomagał. Ktoś znosił paki do piwnic i wydobywał je potem. Nie podobna by było wyliczyć tutaj nawet w skróceniu szeregu przedmiotów najpierwszej konieczności fałszowanych i podrabianych w czasach wojennych. Wszyscy znają cały zakres tych *ersatzów* od chleba począwszy, a kończąc na mydle.

Wśród druzgotania miast i pożarów wsi, kiedy potoki ludzkiej krwi spływały do morza łez, kiedy samotni ojcowie stoją nad mogiłami synów, którzy byli szczęściem ich życia, łotrostwo ludzkie zdobyło się na wymyślenie i przeprowadzenie najsubtelniejszych, najbardziej wyrafinowanych form zdzierstwa, na ukrywanie przedmiotów niezbędnych, ażeby cenę ich wyśrubować do wysokości waryackiej, i bez pracy zdobywać niewiarogodne dochody. W odmęcie rewolucyi rosyjskiej, wśród katastrof rodzin i kaźni, godnych Iwana Groźnego, ludzie „z głową, kapitałiści i finansiści, potrafil na ruinie bliźnich, tracących bezwzględnie wszystko, spychając ich na brzeg grobu i w odmęt rozpacz, — przez wykupienie akcji bankowych i umiejętnie wyzyskanie nieopatrzonego w swej nagości i prostolijności prawa bolszewickiego o wypłacie wkładek, „zarobić“ w ciągu paru miesięcy miliard rubli, ażeby częśćkę tego „zarobku“ przeznaczyć na tworzenie „uniwersytetów katolickich“... I w takich dziełach ktoś przecie kapitalistom pomaga. Szanowni panowie księgarze i nakładcy nie sami, własnoręcznie nadbijają setki i tysiące egzemplarzy książek ponad normę umówioną z danym pisarzem, lecz czynią to za zgodą i przy współudziale proletaryuszów pracy dla oderwania od ust kawałka chleba proletaryuszom piszącym, poetom i artystom słowa.

Robotnicy, którzy znają wszystkie zakulisowe sprawy i sprawki fabrykowania na poczekaniu majątków przez ich pryncypałów, robotnicy i pracownicy, którzy jedni znają to wszystko do ostatniej nitki, gdyż w tem tkwią latami, pomagając dziełu zepsucia własnymi rękami, powinni, doprawdy, wstrzymać nareszcie i odjąć ręce. Nie spieszyć się z pomocą, idącą na korzyść filuta i aferzysty. Przeciwnie, powinni czynić

na szkodę złodzieja, oszusta i paskarza, dając publiczności z której on żyje, a na której niekorzyść stale działa, materiał jedynie dobry i w należytej ilości. Nie krzywdzić ubogiego nabywcy na mierze i wadze w interesie kupca, który swemi oszukańczymi towarami zdrowie klienteli, taksamo jak zdrowie personalu rujnuje. Oczywiście rzecz, iż jednostkę, występującą na własną rękę, zgniótlby każdy pracodawca poszczególne, związek ich i zmowa powszechna.

Lecz jeżeli w każdym fachu pracownicy zwiążą się w zawodowy syndykat, a związek syndykatów utworzy organizację główną, rodzaj giełdy pracy, która zabezpieczać będzie w stanie pozbawić pracodawców siły roboczej za pomocą strajku, wówczas układniejszym i cnotliwszym stanie się pracodawca. Od kucharza w jadłodajni, który konsumentowi powinien dać porcję z dobrego i jedynie świeżego mięsa, zdrowo i smacznie przyrządzoną, aż do mularza, który nie powinien czynić ani jednego poruszenia kielnią na niekorzyść przyszłego mieszkańca, a w interesie kamienicznika, poprzez wszystkie zawody winienby nareszcie przejść ów nakaz moralny ugodzenia w poziomy interes, a wyświadczenia przysługi, dobru pospolitemu. Zatrudnieni we wszelkich pracach i przedsięwzięciach winniby przerwać zawodowe milczenie o oszustwie, wprowadzić na wszystkich posterunkach pracy słowo uczciwe, szczerą prawdę, niezłomną dobrą wiarę publiczną. Wtedy dopiero zadrżałby w sobie i zachwiał się świat wszelakich paskarzów, świat kłamstwa. Wtedy również każdy spracowany człowiek w Polsce, która jarzmo despotów z ramion zrzuca, odetchnąłby pełnymi piersiami w czystym uczciwości powietrzu. Jego spracowane ramiona wyciągną się do nowego świata, gdzie wszystkie siły wytwórcze drogą naturalną przechodzić będą w ręce ludzi wolnych, ludzi, którzy wiedzą, co się dzieje w warsztatach. W świecie tym umorusani, zasmoleni, czarni od potu, w który wgrzył się dym i kurz, z rękoma zgrabiałemi, jak korzenie drzew i twarzą stężalą od kurczów wysiłku, niby zastygłe wapno, zgarbieni, o ruchach niepowabnych, zleniwiałych aż do niedołęstwa zasiądą do rady o losie Polski i losie świata. W świecie tym prawodawcą, kierownikiem i urzędem będzie geniusz, wynalazca, znawca, specjalista. Ale i sam wynalazca musi się upokorzyć wobec warsztatu, gdzie wykonywać się będzie jego po-

myśl. Musi i on być współpracownikiem, inaczej jego koncepcja stanie się jedynie chimera niewykonalną.

Proletaryat, wydyscyplinowany w swych związkach zawodowych, zorganizowany w sobie, zjednoczony, po wessaniu w swój ogrom mocy geniuszu i zaspokojenia wszelkiej mocy arystokracji, niedostępny dla jakichkolwiek ambicy i potężniejszy ponad wszelką władzę cesarza, weźmie na się rolę wielkiego promotora, rolę wodza i twórcy historii. Ożywiać go będzie żądza sławy, jak starożytnych Greków, to też wytworzy zjawiska heroizmu niewidzianego w dziejach. Ponieważ proletaryat syndykalistyczny nie zamierza dziedziczyć łupów, więc też nie przewiduje wcale metod walki i nie układa planów, z których pomocą mógłby zdobyć osiągnąć. Jego niezwalczoną siłą, jego potęgą mocniejszą niż wszystko, jest zorganizowanie w swych rękach mechanizmu produkcyi wszystkiego, czem ludzkość żyje. Zamierza on dokonanie jedyne: wyniszczenia kapitalizmu. Nic nie osiągając ze zwycięstwa, to znaczy nie dzieląc między poszczególnych ludzi dóbr materialnych, proletaryat ograniczy zakres władzy państwa, które było organizatorem bezmyślnej wojny na zewnątrz, rozdawcą zdobyczy i racją bytu posiadaczy łupu. Proletaryat wytworzy ludzi wolnych. Nie będzie rozlewu krwi dla rozlewu krwi. Nie będzie karał. Ulepszy i uzacni obyczaje. Jego zadaniem jest już dziś założenie podwalin moralności wytwórców, pracowników i wynalazców, opartej na skali trudu. Moralność, wytwarzająca się na pniu pracy i w jej granicach, będzie antytezą dzisiejszej i nie do pojęcia przez ludzi starego świata. Zasadniczą jej cechą będzie dążenie do ocalenia cywilizacyi. Siła entuzjazmu i siła cnoty, zrodzonej w pracy, wytworzą motor, który prowadzić będzie ludzkość po drodze postępu. Człowiek nowy pozostanie w warunkach życia skromnego. Wszystko składając na ołtarzu odkupienia i odrodzenia mas, nie będzie liczył na sławę w jej dzisiejszym rozumieniu, w pojęciu błyszczenia, zwracania rozrzuconej uwagi tłumów i podobania się za wszelką cenę. Jego czyn będzie czynem wolnym i posiadzie sławę istotną wśród ludzi wolnych. Do tego celu zdążyć będą wszyscy z największą ludzką pasją i z najognistszym zapalem, działając na własną rękę. Ten ideał walki mas pracujących z autorytetem monarchicznym, oraz tyranją, przebraną w jakąkolwiek inną formę, nie znajduje sprzeciwu w najmiarodajniejszych enuncyacjach religii

katolickiej. Tomasz z Akwinu, w swem dziele, usiłującym ogarnąć całość życia ludzkiego i wszystkie zagadnienia ducha p. t. *Summa theologiae* w rozdziale o rewolucyi *De seditione*, apróbuje w wersecie XLII zasadę rewolucyi pod jednym warunkiem, iż nie przyniesie ona szkody masom uciemżonym.

„*Regimen tyranicum non est justum, quia non ordinatur ad bonum commune, sed ad bonum privatum regentis. Ed ideo perturbatio hujus regiminis non habet rationem seditionis; nisi forte quando sic inordinate perturbatur tyranni regimen, quod multitudo subjecta majus detrimentum patitur et perturbatione consequenti quam ex tyrannii regimine*“.

Wiele już „mrzonek“, jak przytoczone wyżej, podawanych do wierzenia przez marzycieli i poetów, ziściło się tak oczywiście, okazało się w praktyce tak realnie, iż przechodzień uliczny może nogą potraćać korony królów leżące na ziemi: koronę imperatora Wszechrosyi, koronę cesarza Wszechniemiec, koronę apostolskiego cesarza Austro-Węgier, koronę cara Bułgaryi, koronę króla Bawaryi, Saxonii, korony wielkich i zwykłych książąt — *e tuti quanti*. Może tedy nie należałoby lekceważyć i projektu zorganizowania pracy na roli w Polsce wolnej, który poniżej, w wielkiem skróceniu, naszkicować zamierzam.

Polska jest dziedziną nadmiaru proletaryatu rolnego. W samem tylko „Królestwie“ liczba ludzi nie posiadających wcale ziemi, a skazanych na przebywanie w obrębie wiosek rodzinnych, bez możności odpływu do fabryk, których w połaciach wschodnich tego kraju wcale niema, bez możności zorientowania się, gdzie na swą bezprzykładną biedę szukać ratunku, wskutek powszechnej ciemnoty, — skazanych na mieszkanie „na komornem“ u chłopów, posiadających chałupy, — to znaczy izby mieszkalne, — dosięga dwu milionów, wynosi bowiem 17% ludności osiadłej i pracującej na roli, która to znowu liczba stanowi 82% ogólnej liczby mieszkańców kraju. W „Galicyi“ już za czasów Stanisława Szczepanowskiego i sławnej jego książki p. t. *Nędza Galicyi w cyfrach*, stan posiadania ziemi przez ludność rolniczą przedstawiał się w ten sposób, iż rodzina włościańska przeżywała się i odziewała z płodów, wypracowanych i zarobionych na 1½ morgu gruntu. Nie pozbawioną proletaryatu rolnego jest też i dzielnica poznańska. Te strony Europy, północne stoki Tatr i Karpat, między błotami Polesia i dorzeczem Wisły, gdzie według dociekania znakomitych badaczów

prasłowiańszczyzny Lubora Niederlego i Kadleca, poczęła się była Słowiańszczyzna, gniazdo niewolników, wywożonych stąd na świat cały, są i dziś, jak przed zamierzchłymi wiekami, dziedziną niewolników, wychodzących na ciężkie roboty w strony zachodnie. Wychodziło tak rok rocznie z „Królestwa“ pięććroć sto tysięcy, z „Galicyi“ co najmniej sto tysięcy na robotę do Niemiec, Holandyi, Danii, Szwajcaryi. Wskutek znanego we Francyi zjawiska ubytku siły roboczej na roli z racyi odpływu pracowników ze wsi do miast, a w szczególności do Paryża, oraz wskutek nadzwyczajnego nawału siły roboczej polskiej do Niemiec i obniżania tam płacy, polski robotnik rolny stał się nadzwyczaj pożądanym w fermach francuskich. Różnoraki zwierz ludzki czynił sobie przed wojną z tego przyływu polskiego proletaryatu proceder zarobkowy. Utworzyły się po wielkich miastach tajemne biura, istne wniki i potrzaski stręczycielskie, jamy handlu ludźmi, sprzedające patronom francuskim za przystępną cenę robotników rolnych z Polski. Farmerze francuscy zapomocą tych agencji niewolnikami polskimi zawierali umowy z chłopstwem naszym, nie władającym językiem francuskim, i byli również przez te agencye tego oszukiwani. Zazwyczaj taka umowa tem się kończyła, że patron nie wypłacał najemnikom umówionej należytości, albo ci uciekali z miejsca pracy, nie mogąc znieść jadała, nie rozumiejąc rozkazów, dla braku w pobliżu kościoła i t. p. Ci zbiegowie ze wsi francuskich trafiali zazwyczaj do Paryża i po jego ulicach wążęsalisię, podobni do dzikich swoich praszczurów z czasów zamierzchłych, których opisuje Lubor Niederle. (Tamci w tymże Paryżu byli kastrowani i wywożeni do północnej Afryki i na wszystkie rynki starożytnego świata, jako *scławi* czyli niewolnicy, jako *andrapodon*, czyli bydłęta pociągowe z dwiema nogami). Nowocześni tamtych potomkowie za naszych dni spali gromadnie pod arkadami mostów Sekwany, pod ławami bulwarów, w fosach noszących nazwę naszego narodowego wodza Józefa Poniatowskiego, w jamach i szopach podmiejskich, dopóki nie przychwyciła ich policya, lub nie wytropili właściciele i kierownicy owych biur, o których była wyżej mowa. W pierwszym wypadku trudno było funkcjonaryuszom dociec, co to za istoty. Odstawiano ich tedy do biur policyjnych i przedewszystkiem przymusowo kępano, a później szukano po Paryżu jakiegoś organu polskiego, któremu możnaby było tych ludzi oddać w opiekę. Lecz takiego

organu, oczywista, nie było wcale. Polacy nie mieli tam żadnej reprezentacji, ani domu polskiego. W wypadku drugim owi pielgrzymi paryscy trafiali powtórnie w szpony żydowskich agentów, którzy ich już raz sprzedali byli patronom. Handlarze, potrzymawszy tę brać roboczą w jakimś tajnym składziku aż do chwili, gdy z głodu, strachu, chorób i bezsenności „skruszała“, sprzedawali ją w inne strony, innym patronom, do innych prac i za cenę tak niską, iż owe transakcye kończyły się nową ucieczką do wiadomego już Paryża. Był to czas, kiedy chłopów polskich, obdartych, brudnych, płaczących z rozpaczry można było spotykać w zaułkach Paryża i wagonach kolei. W czasie wojny przemoc nad proletaryatem rolnym Polski dosięgła granicy niewiarygodności. Znaną jest powszechnie rzeczą, iż Niemcy siłą oręza i rozmaitemi zbrodnictwami podstępny wyrwali z Polski około siedmkroć sto tysięcy robotników, przeważnie rolnych, i rzucili ich w stan najzupełniejszego niewolnictwa, z zatrzymaniem na stałe w przedsiębiorstwach i gospodarstwach, do wykonywania robót najcięższych i najbardziej wyniszczających, bez prawa opuszczania miejsca przeznaczenia, a z niesłychanie niskim wynagrodzeniem dziennem. Szczegóły podawane raz wraz w parlamencie niemieckim wobec całego tego narodu i przed forum świata przez Trąbczyńskiego o tej zbrodni niesłychanej, już same jedne, gdyby wszystko inne spuścić z oka, pominąć i odpuścić, uzasadniają straszliwą karę, jaką ponosi zbrojecka banda niemieckich ciemiężców, zbrodniarzy, którzy za jedyne prawo świata poważyli się uznać, ogłosić i wdrożyć swą przemoc fizyczną.

Samo przez się nasuwa się pytanie, co zmusza robotników rolnych do gromadnego wychodźstwa „na Saxy“, na zachód i za daleki ocean. Jakiegokolwiek wysuwano by powody tego zjawiska, zasadniczą jego przyczynę stanowi zły stan rzeczy w ojczyźnie. Płaca zarobna w kraju jest niesłychanie niska. Wiadomą jest rzeczą, że niedawnemi jeszcze czasy jednostce pracującej przez cały dzień przy kopaniu kartofli płacono złotówkę, to znaczy trzydzieści groszy, z dodatkiem kieliszka wódki wieczorem. Jeżeli nawet płaca ta podniosła się obecnie, to jest ona zawsze niepomierne niska. Parobek, zatrudniony na folwarku, otrzymywał przed wojną *ośmnaście rubli rocznej pensyi*, ordynaryę, oraz mieszkanie w „czworaku“, gdzie w jednej izbie gnieździły się sposobem chlewnym dwie, a nieraz trzy ro-

dziny fornalskie. Ordynarya była wymierzana w ten sposób, iż starczyło jej na przekarmienie roczne dwunogiej siły roboczej, zupełnie tak samo, jak dostarcza się koniowi obroku, żeby siły jego nie uległy wyczerpaniu. Różnicę tedy między czworonogiem a dwunogiem folwarcznym stanowiły owe ośmnaście rubli rocznej pensyi. Ale rodzina fornalska musiała za to dostarczać właścicielowi tak zwanej „posyłki“, czyli jednostkowej siły roboczej, potrzebnej dziedzicowi obszaru dworskiego do wykonywania robót polnych i folwarcznych w nagłym czasie pielenia, kopania, żniwa, młocki i t. d. Ta siła, opłacana wprawdzie osobno przez właściciela dominium, w razie braku jej w rodzinie fornala, musiała być przecież dostarczona, czyli po tańszej cenie podnajęta, z zewnątrz dodana. Jakże wobec takich warunków zarobkowych można mówić o higienie, oświacie, uobywateleniu, uświadomieniu narodowem i społecznem pracowników folwarcznych? Byli to ludzie ze wszystkiego wyzuci. A jednak piszący te słowa ma w oczach niezapomnianą postać jednego z tych ludzi, jak w czasie odczytu wiejskiego w ziemi lubelskiej, wysłuchawszy dowodzeń prelegenta o konieczności budowania szkoły publicznej, wydobywa z zanadru czystą szmatę, rozwija ją długo i wyjmując zawiązanego w licznych supłach, jedyne, srebrnego rubla, połowę miesięcznej swej pensyi, i chce go złożyć na ołtarzu publicznej potrzeby. Na ogół jednak parobcy — była to w istocie rzeczy tylko siła fizyczna, którą kupowano, wynajmowano do roboty, póki istniała, jako w koniu i wole. Gdy się wyczerpywała, odrzucano ją bez litości pod kościół. Stwierdzoną jest rzeczą, iż olbrzymia większość fornali, jeśli odrzucić przypadkowy zbieg okoliczności, jak nieoczekiwane dziedziczenie, szczęśliwą żeniączkę, lub emigrację, — zostawała dziadami pod kościołem lub cmentarzem okolicy, w której przepracowała życie. Dziadostwo — jest to w ojczyźnie naszej *prytanęum*, *panis bene merentium* dla tego najbardziej pracowitego odłamu społeczności, który trudem swym przeważnie wykarmia miasta i miściny.

Wartość każdego towaru, wyniesionego na targ po wyprodukowaniu, a więc, dajmy na to, wartość korca żyta z folwarku dobrze zagospodarowanego, przedstawia w sobie trzy elementy, reprezentuje trzy składniki: kapitał stały, czyli wartość ziemi, budynków, narzędzi, inwentarza i t. d., — kapitał zmienny, czyli wysokość płacy robotników rolnych, którzy ów korzec

żyta wyprodukowali z ziemi, — i wreszcie wartość dodatkową, czyli zysk właściciela folwarku. Stosunek wartości dodatkowej, czyli zysku, do wartości ziemnej, czyli płacy robotników rolnych, daje stopę, czy normę wartości dodatkowej, albo, prościej mówiąc, co nasz jasny język znakomicie wyraża, stopę, czy normę wyzysku. Po wstawieniu w te formy cyfr odpowiadających rzeczywistości i po wyprowadzeniu przeciętnej, zastosowanej do gatunku i rodzaju wydajności roli, oraz po rozważeniu wszelkich ubocznych okoliczności, towarzyszących wyprodukowaniu jednostki mierniczej ziarna, okazywało się przed wojną na terenie „Królestwa“, iż właściciel folwarku w ciągu jednego dnia, na każdym ze swych parobków zarabiał 1 rs. 25 kopiejek. Z tej to „normy wyzysku“, z tego 1 rubla i 25 kopiejek dziennego zarobku właściciela na każdym z pracowników, (która, być może, obniżyła się nieco teraz wskutek pewnego uświadomienia społecznego parobków i wynikłych stąd strajków rolnych w czasie rewolucyjnych ruchów r. 1905, oraz wskutek rozwoju poczucia obywatelskości w sferze nowoczesnych posiadaczy), — utrzymują się, prosperują i trwają wielkie rolne fortuny, latyfundiya, dobra i wysoko kulturalnie zagospodarowane posiadłości folwarczne. Czasem tylko, wskutek jakiegoś przypadku, głośnego w sferach arystokratycznych skandalu, ogół dowiaduje się o wysokości zdumiewającej majątków pańskich.

Dola parobków, zatrudnionych w folwarkach, gorzka jest, jak nigdzie zapewne na świecie, a przecież znośniejszą jest jeszcze, niż dola proletariatu bezrolnego, nie posiadającego określonych zajęć. Ten odłam wydziedziczonych w Polsce siedzi na komornem w izbach-szkarlatynkach, tuląc się przy kominach i w zapieckach, na strychach i w stajniach chłopów posiadaczy, — zarabkuje najmem u zamożniejszych kilkunastomorgowych gospodarzy i chadza wewnątrz kraju z okolic jałowych, kieleckich, radomskich, piotrkowskich w „pszenne kraje“ lubelskie podczas żniw „na bandos“. Z tych to ludzi rekrutują się wychodźcy sezonowi „na Saxy“. Czasami jakaś „niesumienna agitacya“, jak głoszą pisma codzienne, wymiata pewną ilość tego pogłowia do Ameryki Południowej, albo do fabryk Północnej. Straszna dola owych sierot ojczyzny, których liczba wciąż się powiększa wskutek szybkiego rozradzania się biedy, — (działa tu znane na świecie prawo: im większa bieda, tem

więcej dzieci), — przedstawiana była wielokrotnie w formach plastycznych przez pióra świetnych pisarzy — Bolesława Prusa, Adolfa Dygasińskiego, Władysława Reymonta. Marya Konopnicka dawno już ukazała narodowi groźną postać „Wolnego najmity“. Lecz ani obrazy pisarzy, ani wołania poetów nie pobudzały do skutecznego i zaradczego czynu w sferze tych, którzy mogli byli wpłynąć na zmianę stosunków. Piorunując na socyalizm, woleli oni czekać na ostateczną proletaryzację masy, którą socyalizm przewidywał, a conajwyżej zadawali sobie wynikami dzikiej, bezplanowej, antykulturalnej parcelacji wielkiej własności.

Dopiero, — niestety! — teraz, gdy czerwona chusta zemsty, na żerdzi krwią ociekłej podniesiona została na widok okręgu ziemskiego z Kremla Moskwy „białokamiennej“, gdy masy rozjuszone runęły na dwory Ukrainy, Polesia i Podola, mordując chorych i dzieci, paląc i niszcząc dorobek kulturalny pokoleń, przypominano sobie o prawdzie, dawno w piśmiennictwie polskiem proklamowanej. Niema teraz w kraju naszym partii tak zacofanej, a nawet niema brukowej gazety, któraby nie rozwiązywała „sprawy rolnej“. Świetny i wzniosły program rolny „eserów“ rosyjskich, który przejąwszy, demagogowie bolszewicy proklamowali, jako swoją metodę, dla zyskania doraźnej władzy nad ludem, wydany w ręce gmin wiejskich z dzisiejszym ich zasadniczym składem, zamienił się, w monstualną dewastację, ukazał się w praktyce, jako podział ziemi ornej, a nawet olbrzymich permskich i nadwołżańskich lasów, między chłopów bogatych, „kułaków“, prym i władzę dzierżących w gminach. Biedacy zostali tam znowu na koszu, a kwestya agrarna nie jest bynajmniej w Rosyi „załatwiona“. Rezultatem tego demagogicznego „załatwienia“ jest straszliwy głód w miastach, gdzie ludzie przepłacają obierzyny kartoflane, jedyne pożywienie, a cena chleba dosięga kilkudziesięciu rubli za funt, — jest zniszczenie latyfundiów, jaka tam już była, i stan rzeczy mniej więcej taki sam, jaki był przed rewolucją co do układu stosunków społecznych. Doniosła nauka tkwi w tem przykładzie. Okazuje się z niego, że ziemi nie można dzielić na szmaty, rozdrapywać, szarpać i rznąć według upodobania, ażeby zyskać posłuch w nieszczęsnej chłopskiej masie. Powtórzyła się raz jeszcze nieomylna nauka, iż ziemia jest warsztatem pracy, i jako warsztat pracy, winna być umiejętnie przez światłych i świa-

domych rzeczy agronomów zmuszona do wydawania stokrotnego plonu. Kto, dla zyskania w biednej masie posłuchu, zarządzi w ten sposób, iż jego doraźne poczynanie obniży wydajność plonów, ten nie tylko wygłodzi miasta, lecz popełni zbrodnię omyłki, która, być może, nie będzie już nigdy naprawioną.

Sposób gospodarowania, ujawniający się w wydajności pszenicy, żyta, kartofli i t. d. w „Królestwie“ i „Galicyi“ jest dwa razy gorszy niż w Niemczech, a trzy razy gorszy niż w Danii. Nasz tedy system gospodarowania na roli musi być koniecznie i przede wszystkim ulepszony i podniesiony do skali europejskiej. Folwarki górują bezwzględnie nad gospodarstwami włościańskimi, otrzymując, wskutek umiejętnej uprawy, obfitsze i lepsze zbiory. Jeżeli by tedy oddać u nas gminom majątki wielkie w celu podziału ich między włościan zarówno posiadających, jak nieposiadających dotychczas ziemi, to owocem tego procederu będzie to samo, co w Rosyi: powszechny upadek wydajności plonów, ukrycie w ziemi tego, co się wyprodukuje, dla samychże producentów, oraz głód w miastach.

Wydaje mi się, że metodę gospodarowania rolnego w Polsce powinienby przede wszystkim cechować amerykańizm, który przejawiał się w powołaniu do życia instytucji *Agriculture industry*. Instytucja ta, powstała z inicjatywy pewnego marzyciela, a wskrzeszona usiłowaniami prywatnemi, postarała się o zbadanie klimatologiczne, gleboznawcze i botaniczne terena Ameryki Północnej i całego globu ziemskiego, oraz o zestawieniu tych dwu czynników w zakresie rolnictwa. Z badań tych okazało się, iż na rolach Ameryki można skutecznie uprawiać pszenicę węgierską, banatkę i rosyjską kostromkę, jabłka antonówki, we Florydzie szczep winny z Korsyki, ryż japoński, a na północy owies i len w najdoskonalszych gatunkach — i t. d. Rezultatem usiłowań *Agriculture industry*, których opis zbyt wieleby tu zajął miejsca, jest właśnie olbrzymia produkcja w stepach Dakoty, Montany i Nebraski, która zalewa Europę, — hodowla jabłek antonówek, zasypująca Rosyę jej własnym produktem, — ryżu japońskiego, który bije produkcję japońską i t. d. W naszych stosunkach panuje stale moda trwożenia się i lękania nowości, moda dowodzeń i powoływań się na stosunki europejskie, na Czechy, Danię, Holandję i t. p. Tymczasem konieczna jest chęć do ujęcia tego dzieła od nowa i pragnienie

wielkiego rozmachu. Powinno by w istocie naprzód być przedsięwzięte takie amerykańskie badanie gleboznawcze, klimatyczne i botaniczne całkowitego terenu Polski zjednoczonej, od Tatr po Bałtyk i od Odry po Niemen. Potem winno nastąpić zestawienie tych badań z najintensywniejszymi wzorami amerykańskiej uprawy rolnej, wyłączając, oczywiście, tamtejsze rabunkowe metody, wdrażane przez milionerów, dla uzyskania jednorazowego, najefektowniejszego plonu i zysku, — oraz ze wszystkimi wzorami świata. Następstwem tego kroku byłoby powołanie z obczyzny, wyszukanie w kraju i skupienie wszystkich agronomów polskich, chemików i techników rolnych, botaników i zoologów, którzy powinni być do rozporządzenia ministerjum rolnictwa. Ci to ludzie pod kierownictwem swego szefa byłiby gospodarzami na roli polskiej, instruktorami i kierownikami, sztabem oficerów rolniczych, których zadaniem byłoby nauczanie i ćwiczenie armii rolników. Jedni z nich byłiby przez rząd delegowani do pracy wśród chłopów posiadających dziś gospodarstwa dziesięcio, czy kilkunastumorgowe, jako nauczyciele wędrowni, instruktorowie doraźni, lub stali, w celu podniesienia produkcji i zamożności zapomocą prawnego skomasowania rozrzuconych kawałków roli, regulowania i opanowania zasobu wilgoci, wapnowania, drenowania łąk, nabywania i użytku nawozów sztucznych, sposobów racjonalnej orki, spółkowego nabywania i użytkowania maszyn rolniczych, przydatnych na małym obszarze, chowu zwierząt domowych i racjonalnego ich leczenia, mleczarstwa, ogrodnictwa, pszczelarstwa, chowu ptactwa i t. d.

Druga grupa tego sztabu agronomów i techników rolnych pracowałaby, kierując armią parobków na latyfundiach, skonfiskowanych przez państwo. Wierzę niezłomnie, iż konstytucyjny Sejm polski, zwołany na najszerszych podstawach głosowania, proklamuje wszechwładztwo ludu w zjednoczonej i niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej, — za rację bytu i fundament jej istnienia w myśl nieśmiertelnej zasady ojców z Towarzystwa Demokratycznego, przypieczętowanej świętą krwią męczenników, — ku ich czci, tekst i brzmienie głównej ich zasady uzna za pierwszy paragraf konstytucyi polskiej: „Społeczność, obowiązkom swoim wierna, prawo posiadania ziemi i wszelkiej innej własności pracy tylko przyznaje“. W myśl brzmienia tego paragrafu wszystka własność wielka w Rzeczypospolitej Pol-

skiej, — ponad pięćset morgów, — uznana być winna za warsztat pracy ludu polskiego bezrolnego i małorolnego, to znaczy, mieszkającego na roli, a nie posiadającego jej wcale, albo mieszkającego na roli we własnej chacie, lecz posiadającego mniej, niż pięć morgów gruntu. Uważałbym pozostawienie 500 morgów w jednostkowym władaniu dotychczasowych posiadaczy za pożądane w tych wypadkach, gdy ziemianin istotnie sam gospodaruje na swym folwarku postępowo, wydajnie pod względem agronomicznym, wzorowo pod względem chowu zwierząt, kulturalnie, humanitarnie i od dawna, — gdy żył i zrósł się ze swą dziedziną, okolicą, stosunkami i ludźmi. Takie gospodarstwa obszerniejsze, pięciusetmorgowe, na których można już operować maszynami i wprowadzać wszelkie ulepszenia w kierunku osiągnięcia jak największej wydajności plonów, stanowiłyby w naszych stosunkach krajowych rodzaj ferm doświadczalnych, ostoji kultury rolnej i siedlisk cywilizacji. Handel ziemią pięciusetmorgową powinienby być zabroniony. W razie jednak deklaracji zamiaru opuszczenia przez właściciela z jakiegokolwiek względu fermy pięciusetmorgowej i odstąpienia prawa jej posiadania, Rzeczpospolita powinna posiadać prawo pierwokupu na podstawie ceny maksymalnej, która okowiązywać będzie w tych wypadkach. Właściciel fermy pięciusetmorgowej winien mieć prawo używania do gospodarstwa sił pomocniczych, parobków, najemników, funkcyonaryuszów rolnych, lecz, oczywiście, na zasadach i za wynagrodzeniem, które wogóle obowiązywać będzie w gospodarstwach, prowadzonych pod zwierzchnictwem Rządu Polskiego, o których niżej będzie mowa.

Wszystkie ziemie tak zwane „donacyjne“ (w „Królestwie“), dawne rządowe, kościelne, klasztorne, wszelkie dominia, dobra cesarskie, wielkksiążęce, książęce, magnackie, ordynacye, latyfundya, „państwa“, klucze, wszelką własność wielką Sejm polski winien oddać we władanie, bez żadnego na rzecz poprzednich właścicieli wykupu, ludowi polskiemu. Oczywiście, iż w obliczu tego przejścia własności, zabezpieczone zostałyby wierzytelności zakładów dobroczynnych, szpitali, szkół, ubezpieczeń robotników i urzędników prywatnych, fundacyi stypendyalnych dla ubogiej młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, oraz wszelkie inne wierzytelności, umieszczone na hipotekach owych magnackich obszarów.

Jedna trzecia część ziemi uprawnej, lub nadającej się do

uprawy, latyfundiów, w której posiadanie wejdzie lud polski w osobie prawnej Rządu Polskiego, powinny być przydzielone włościanom małorolnym, posiadającym około pięciu morgów ziemi dla wyżywienia rodziny. Przydział ten powinien być uskuteczniiony jednocześnie z komasacją i odpowiedniemi ozdrowieniem posiadania jednostkowego w tym kierunku, żeby rodzina włościańska, już posiadająca nieco roli, utrzymująca się z jej uprawy, znalazła się we władaniu minimalnie dziesięciu morgów. Na pozostałych we władaniu Rządu Polskiego dwu trzecich ziemi dawnej wielkofolwarcznej, uprawnej, lub nadającej się do uprawy, osadzoną być winna połowa proletaryatu rolnego Polski, parobków i wydziedziczeńców, a więc około miliona z górą ludzi. Robotnicy ci pracowaliby na jednostkach wielkofolwarcznych, w dobrach silnie już zagospodarowanych, w których zbiory są lepsze i wydatniejsze, niż w gospodarsko-chłopskich, — pod kierunkiem delegowanych agronomów rządowych, techników rolnych i zarządców, świadomych rzeczy rolniczej. Sprawa zostałaby w latyfundiach w takisam sposób, jak jest obecnie, z tą tylko różnicą, że czysty dochód z korca wyprodukowanego zboża nie przechodziłby na dobro właściciela, jak obecnie, lecz stanowiłby dochód bezpośredni samych pracowników, — a owa norma wyzysku, 1 rs. 25 kop. na ziemiach dawnego „Królestwa“ znikłaby zupełnie. Parobek na folwarku dostawałby rocznie nie 18 rs., jak w tych czasach, lecz conajmniej kilkadziesiąt razy więcej, która to suma wzrastałaby, oczywiście, w miarę rozwoju każdej folwarcznej kooperatywy, czy wyższą byłaby odrazu, a czego w danej chwili określić niepodobna, — otrzymywałby nadto ordynaryę, najzupełniej zaspakajającą jego potrzeby, oraz potrzeby jego rodziny, — mieszkanie, światło, opał i t. d.

Wdrożenie takiego systemu gospodarstwa kolektywnego nie byłoby wcale objawem socjalizmu państwowego. Byłyby to swobodne kooperatywy rolne, prowadzące swe sprawy z biegiem czasu niezależnie od państwa, związane z niem jedynie węzłami konieczności, potrzeby i wymiany usług. Jeżeli w momencie tworzenia w Polsce nowych podstaw publicznego życia, należałoby chwycić się tego środka rozgraniczenia nie tyle dóbr, ile podziału metod pracy w zależności od jej warsztatów, na podstawie niejako nakazu z góry, dyrektyw rządu, to wynika to tylko z tego powodu, że los błogosławiony wsuwa w ręce

ludowi polskiemu, człowiekowi w Polsce „cierpiącemu, tęskniącemu i wolnemu w duchu“, konieczność dokonania tego dzieła doraźnie i w krótkim niezbędnym czasie, a on sam wykonywać tego nie umie, ażeby dzieło pokoju i miłości nie zamieniło się na krwawą i szaloną rewolucję, któraby tylko zgłiszcza, trupy i krew zostawiła na tej roli, gdzie mogą rosnąć kłosa, owoce i kwiaty. Druga połowa masy proletaryatu bezrolnego, która w charakterze robotników jużby na folwarkach dla siebie miejsca nie znalazła, albo z jakichkolwiek względów na wsi pozostać nie zamierzała, a więc, — skoro brać, jako wykładnik, wciąż stosunki „Królestwa“, — znowu milion z górą ludzi, — stanęłoby do dyspozycji Rządu Polskiego, jako armia rezerwowa wielkich robót narodowych. Ta to armia pod kierunkiem geologów, inżynierów i techników, którzy powinni działać nie tylko z rozmachem amerykańskim, ale, powiedziałbym, z furją pomysłów i dokonań, przeprowadzałyby: natychmiastowe obwałowywanie, regulację i pogłębianie koryta Wisły, oraz jej wszystkich dopływów, — budowę wielkich kanałów wodnych, kierujących wywóz produktów z olbrzymiego dorzecza polskiego ku Gdańskowi, — osuszanie błot i zniesienie wydm piaszczystych, tudzież eksploatację odpowiednią tych nieużytków, — roboty pobrzące w naszym porcie bałtyckim i na Helu, gdzie powinnyby być wygotowane baraki kąpielowe dla wszystkich żołdowatych i skrofulicznych dzieci miast polskich, — natychmiastową budową linii kolei żelaznych, łączących Wilno z Cieszynem, Lwów z plażami Helu, Łomnicę Tatrzańską z Czacą przez Zakopane i tym podobne, oraz olbrzymią przestrzeń dróg bitych, szczególnie w Królestwie, — budowę i eksploatację nowych kopalń węgla w zagłębiu śląskim, karwińskim i krakowskim, — rozwój kopalni soli, nafty, siarki, marmurów i granitu, — wydobywanie benzyny z łupków bitumowych, — zabrukowywanie miast, miasteczek i wsi twardym kamieniem, — odbudowę całej Polski w najszerszym i zupełnym znaczeniu tego wyrazu. Armia ta użytą by była do wzniesienia wielkiej ilości budynków publicznych (samiych szkół ludowych w „Królestwie“ dwadzieścia pięć tysięcy!), do ogromnego dzieła spiętrzania w odpowiednich punktach potoków i rzek tatrzańskich i formowania produkcji siły elektrycznej, któraby oświetliła miasta, miasteczka, wsie, domy i drogi, — jak również do całego szeregu nieprzebranych prac publicznych, narodowych, ogólnopolskich, których domagać

się będzie rosnąca, jak na drożdżach, kultura plemienia, a wskazywać je geniusz i wiedza. Rząd polski, działający jako pełnomocnik ludu, po skonfiskowaniu wielkiej rolnej własności, będzie rozporządzał niezmiernem bogactwem, kapitałem stałym, na który doraźną pożyczkę dostanie wszędzie na świecie. Będzie tedy w możności wykonywania olbrzymiego zakresu robót publicznych, Gdyby nawet dziewięć dziesiątych zysku z roli pochłaniało zaspokojenie potrzeb pracowników i gdyby najbardziej wysokie sumy pochłoneła płaca robotników drugiego odłamu, których zarobki będą nadzwyczaj szczodre, jeszcze i wówczas nieobliczalne bogactwo ludu stanowić będzie nadwyżka ponad konsumpcyę płodów, wciąż rosnąca, ogrom węgla, soli, kruszców kopalnych, drzewa, nabiału, przetworów fabrycznych, a nade wszystko główny i najpotężniejszy skarb polski, — ogrom młodych i zdrowych ludzi, których, na szczęście, wojna w „Królestwie“ niemal nie tknęła. Ten kapitał, zawarty w mocnem, młodem ramieniu i w wyzwolonym duchu — jest najcenniejszy. Jest to właśnie ta ocalona potęga, o której panowie publiczności, w „aktywistycznych“ piśmiłkach piotrzkowskich twierdzili, iż jej „milionowa siła marnuje się“, żyjąc i prosperując, zamiast runąć w grób, ku pomnożeniu potęgi cesarza Wilhelma i cesarza Karola.

Bezrolnemu dziś ludowi polskiemu, proletaryuszom najbiedniejszym na świecie, nie chodzi o posiadanie ziemi na własność, nie chodzi o to, ażeby każda jednostka przygwożdżona została raz na zawsze do jakowegoś działka ziemi, którego ona nie może wydajnie uprawiać, lecz chodzi o to, żeby każdy człowiek otrzymał z krwawej pracy swej dochód jaknajwydatniejszy, któryby pokrywał wciąż rosnące potrzeby, coraz bardziej cywilizacyjnie wielorakie. Zgubnąby była parcelacya wielkich dominiów na pojedyncze działki. Sprowadziłaby upadek wydajności folwarków, tych warsztatów, umiejętnie wyprodukujących roślinne środki żywności całego narodu, sprowadziłaby głód i drożyznę, jak w Rosyi dzisiejszej, i już następne pokolenie drobnych dziedziców postawiłaby wobec konieczności nowych podziałów, nowej nędzy i nowej rewolucyi społecznej. Role wielkofolwarczne podlegać będą temsamemu prawu, co lasy, lub pastwiska i stawy zarybione. Czyliż można dzielić lasy, lub pastwiska i stawy na przydziały jednostkowe? Jeżeli tego nie można dokonać w lesie, lub stawie, to tem mniej dokonać

można na roli, której rozległość uzależniona być musi od rodzaju uprawy maszynami. Na małym działku ziemi niepodobna operować skutecznie maszyną i nawozami, których gospodarstwo wydajne niezbędnie wymaga. Nadto — gospodarstwo jednostkowe pochłania niepomierłą ilość materiału budowlanego: dla każdego prosiaka osobny chlew, dla każdej krowy i szkapy osobna obora i stajnia. Krowy w gospodarstwie chłopskim dają cztery razy mniej mleka, niż we wzorowej holenderskiej oborze, chorują na gruźlicę i pod względem wydajności mięsnej stoją na niskim poziomie. Rasa koni chłopskich w kieleckim i radomskim zesłała do stanu karykaturalnego wskutek zaprzęganania nieletnich źrebiąt do ciężkiego wozu i pług. Gospodarstwo kolektywnie — wielkofolwarczne umożliwiłoby podział uprawy wszelkiego rodzaju zbóż, traw i roślin w zastosowaniu do natury gruntu i warunków zewnętrznych. Możliwość uprawiania znakomitej pszenicy, buraki, chmiel i t. p., w lichych produkować wielkoziarnisty owies, a na najlichszych mazowieckich i podlaskich szczyrkach, na gruntach podmiejskich, w sąsiedztwie Warszawy i Łodzi zamienić jałowe pola na tereny hodowli ptactwa domowego, jakie można obserwować pod Londynem na olbrzymich przestrzeniach, tudzież w Ameryce pod wielkimi miastami, tak zwane Chicken Company. Przy takim też jedynie systemacie gospodarstwa byłyby w zupełności zabezpieczone od zniszczenia lasy, nietykalne i niedostępne dla niczyjej siekiery, wielkie puszcze, parki narodowe, — na północnym skłonie Tatr, od Matlar do Chochołowa, w górach Świętokrzyskich, od Jeleniowa po Przedbórz, mogły by być wskrzeszone „puszcze“ kozienicka, skampinowska, kurpiowska, lasy śląskie, mazurskie, podlaskie. Przy tym również systemie możliwe jest szybkie powstanie i natychmiastowy rozwój spółek mleczarskich, pszczelarskich, rybackich, — szkół zawodowych i przemysłów rolnych, powołujący do życia cały szereg fachów, już to wyrastających z rolnictwa, już z zewnątrz mu służących, — jak racjonalna, na wielką skalę hodowla trzody chlewnej i przetworów masarskich, wyrabianych na miejscu, — jak specjalne hodowle krów we wielkich oborach i fabryki masła, serów i wszelakich przetworów, kefiru, laktolu, jogurtu i t. p. — jak hodowla ptactwa i wielki, umiejętny eksport jaj, spółki i kooperatywy, produkujące pasztety, marynaty, półgęski i t. p.

Sposób, który wyżej naszkicowany został, otwiera perspektywy najobfitszej produkcji i intezywnego wzrostu narodowego bogactwa, zgodny jest z naturą pracy na rolach polskich, już wdrożoną przez folwarki, daje człowiekowi rolnemu swobodę ruchu, czyni zeń jednostkę wolną, zdatną do postępu, do czynnego i praktykującego altruizmu, do tworzenia zrzeszeń nie tylko w celach materialnych, do reformy życia, krzewienia oświaty i kultury. Pracownicy rolni — byłaby to armia ludzi nowożytnych, swobodnych robotników, karmiących umiejętnie całkowitą społeczność, zatrudnioną w miastach, fabrykach i skupieniach nierolniczych. Byłaby to wieloraka w sobie kooperatywa ludzi zadowolonych z dochodów, które wciąż będą rosły, w miarę rozwoju ich komunistycznego gospodarstwa. Charakter posiadania roli przez robotników na niej zatrudnionych nie powinienby, zdaje się, mieć formy dzierżawy, gdyż lud pracujący, istotny dziedzic dawnych latyfundiów, wydzierżawiałby właściwie warsztat pracy samemu sobie. Winny to być posiadłości wieczne, wedle określenia Joachima Lelewela, „nie moje ani twoje, ale nasze, mirskie“.

Jeżeli przeciwko temu projektowi podniosą się ostrzeżenia, iż natura naszego „chłopa“ niezgodna jest, jakoby z takim procederem gospodarstwa, że ta natura pożąda jedynie władania zagrodowego, na swym zagonie i w swej własnej obórcie, to można z góry odpowiedzieć tysiącem zaprzeczeń. Alboż parobcy nie pracowali dotąd w całej Polsce na latyfundiach pod kierunkiem ekonomów brutalów, pobierając za swą pracę 18 rubli rocznej pensyi? Czemuż to ma być niezgodne z ich naturą gospodarowanie w taki sam sposób, gdy będą pobierali kilkadziesiąt razy więcej, nie będą mieć nad sobą panów, ekonomów, karbowych i rządców, lecz urzędników, którzy będą takimisamymi robotnikami, jak oni sami — gdy będą mieli zapewnione całkowite utrzymanie, z zagwarantowaniem, iż dzieci ich będą się kształcić w ochronach, szkołach początkowych, średnich, a w miarę dostrzeżenie w nich zdolności, w uczelniach uniwersyteckich i instytucjach, — gdy z biegiem rozwoju pełnego życia kooperatyw rolnych, dorobkiem ich staną się domy ludowe, teatry, koncerty, kształcące kinematografy, muzea, oraz wszelkie inne pomoce i instytucje, zaspakajające wszelkie ich duchowe potrzeby.

Robotnicy rolni w Ameryce pracują na wielkich przestwo-

rach Dakoty, Montany i Nebraski w taki właśnie sposób i zgodzie to jest z ich naturą. A zresztą — w ciągu kilku wieków ciemnej pańszczyźnianej nocy wszyscy chłopci polscy pracowali w taki właśnie komunistyczno-wielkofolwarczny sposób z tą tylko drobną różnicą, iż wówczas „pan“ brał dla siebie zysk z ich pracy, a obecnie ów zysk pobierać będą oni sami dla siebie, — sami również zeń wydzielając część potrzebną na szkoły, teatry, muzea, instytucje kształcące i rozrywkowo.

Organizatorem nowoczesnego życia mas pracujących w Polsce będzie Rząd Polski, wyłoniony z Sejmu. Sejm, wielkie laboratorium ustaw, gdzie jawnie i swobodnie ścierać się będą wszelkie czynniki życia społecznego, zawrze w sobie przedstawicieli stronnictw i partyi, tych funkcji, czyli potęg życia. Rząd polski, powołany przez Sejm do spełnienia wypracowanych i przyjętych ustaw, powinien się składać ze specjalistów, z ludzi najgienialniejszych i najtęższych nie w partyach, lecz w ojczyźnie. Rząd taki winien być organem wykonawczym, instrumentem i dźwignią, poruszającą z posad martwą bryłę naszego świata. Moznaby powiedzieć, że minister nie powinien mieć osobistych przekonań, ani przekonań swej partyi, czy swego obozu. Powinien być jedynie pełnomocnikiem, wykonyującym precyzyjnie i szybko sprawy polecane.

Gdyby tak, jak tu w pobieżnym skrócie naszkicowane zostało, przeprowadzono reformę przede wszystkim agrarną i wszczęto wielkie roboty narodowe, to, w istocie, nikt w Polsce nie byłby skrzywdzony. Trudno krzywdą magnata nazywać odcięcie mu „klucza“ z kilkunastu, czy kilkudziesięciu folwarków, pozbawienie go pałacu, albo lasu do polowania. Uniknęłoby się natomiast fatalnego błędu bolszewików rosyjskich, którzy proklamowali i wdrożyli akt zemsty, jako zasadę reformy, — którzy stan i tytuł proletariusza uważali za dostateczny motyw i zasadę przedzierzgnięcie nędzarza w pana, a natomiast stan i tytuł pana, bogacza, za motyw i zasadę zepchnięcia człowieka w przepaść nędzy i głodu, w to właśnie miejsce, gdzie proletaryusz leżał doniedawna.

Panowie polscy, szlachta i dziedzice, muszą się ograniczyć, zdjąć delię i złoty pas, kontusz i kołpak z czaplem piórem, muszą, jak dawno głosili ojcowie z Towarzystwa Demokratycznego „wejść w lud i stać się ludem“. W zamian za to ograniczenie ujrzą własnymi oczyma, jak ich kapitały martwe, pa-

sywne, leżące w postaci kup złota w bankach angielskich i innych, przemieniają się w dobra i kapitały aktywne, czynne, procentujące się stokrotnie, w oczywistej postaci szczęścia ludzkiego i dobra na ziemi. To ich wyrzeczenie się i ograniczenie zgodne jest z zasadami nauki Chrystusa i świętych Jego Kościoła, którzy głosili, jak nieśmiertelny Ambroży: „*Nemo proprium dicat, quod est commune*“ — oraz: „*Plus quam suffiecret sumptui violenter obtentum est*“.

Czyż może być w zgodzie z zasadami Chrystusa zjawisko posiadania pustych zazwyczaj, ogromnych pałaców, zamkniętych nieraz miesiącami, półroczami, latami, gdy bezrolni i bezdomni nędzarze, rodacy, mówiący z prawieków tysamsym językiem, nie mieli, prawdziwie, gdzieby głowę skłonić? Czy zgodne było z zasadami Chrystusa posiadanie ziem, których częstokroć nie znało się wcale, lasów do polowania, gdy pracowity nędzarcz nie miał ani jednej skiby ziemi i musiał wędrować dla tego z ojczyzny w ziemię cudze, tam tułać się bez opieki, bez znajomości mowy rozkazodawców, wszędzie nędzny, ubogi, włóczęga, którego „nogami popierano“, ażeby dźwigać u obcych to, na co szkoda było panom zużycia siły konia, wołu i osła, — ażeby wciągnąć płucami najzjadliwsze zarazy, wszystkie fetory, kurze i zgnilizny warsztatów cudzych i fabryk, wyciskających zeń ostatek siły? Przewiduję i uprawniam zarzut co do tego rozdawnictwa „cudzej“, to znaczy, wielkopańskiej ziemi. Łatwo jest w istocie proletariuszowi pisarskiemu, który posiada na własność kałamarz, pióro i ćwiartkę papieru, darowywać ludowi ogromne latyfundya, wdzierając się przed czasem w prerogatywy konstytucyjnego Sejmu. Nie tak zaś łatwo jest wielkiemu posiadaczowi zrzec się włości oddziedziczonych, otrzymanych, jako wiano, albo nabytych, do których przywykł, — częstokroć dóbr pradziadowskich.

Rozumiem wielkość takiej ofiary i ceniłbym ją najwyżej jak zasługuje, gdyby się dobrowolnie dokonywała. Byłaby to bowiem wysoka forma patryotyzmu i uspołecznienia. Rysowałem wielokrotnie fikcyjne postacie takich patryotów i owo zrzeczenie się dóbr na rzecz ludu propagowałem wytrwale, przez całe życie, — psując do gruntu jakątąk wartość artystyczną swych pisanin. Czasy nadeszły ciężkie dla posiadaczy. Nie słuchali niczyjego głosu. Obrzucali, za pośrednictwem pism swych najemników gazeciarskich, wszelakimi zniewagami tych

fantastów, którzy potrzebę ofiary, konieczność reform głosili wytrwale i spokojnie, a nóż do gardła przystawiony w ciemności czasu przewidywali. Teraz już wyjścia niema. Nie pomogą wybiegi i matactwa reakcyi. Nic nie pomoże! Albo sprawa pójdzie krzywym łukiem rewolucyi, o której nikt a nikt nic nie wie, dokąd ona zajdzie, — albo, jak to zwykli czynić mistrze w organizowaniu stosunków życia ludzkiego na ziemi, Anglicy — szlakiem cięciwy, zabiegnięcia rewolucyi drogi, naprzelaż, drogą mądrej, dobrowolnej, chrześcijańskiej ofiary. W przypadku pierwszym, w przypadku rewolucyi, zniszczone zostaną skarby kultury i sztuki, które są w naszym posiadaniu, lać się będzie krew rozpasze się chamstwo biednego, stratowanego człowieka. W przypadku drugim — stałoby się zadość tej wysokiej zasadzie najszlachetniejszego z plemienia szlachty:

„Nic nie spychać nigdy w dół,  
Lecz do coraz wyższych kół  
Iść przez duchów podnoszenie,  
Bo cel światów — szlachetnienie“.

Tej wielkiej, narodowej sprawy nie powinno się szybko „załatwiać“, lecz należałoby nią „zatrudnić“ wszystkie umysły, — podjąć ją i ukazać, jako dzieło największej wagi, od którego postawienia i rozwiązania zależy przyszłość narodu polskiego.



*Kraków, w październiku 1918 roku.*

751

\*KSIEGARNIA\*

ANTYKWARIAT

DOM  
KSIĄZKI  
DOM

90 491

